

Reportaż

Z flagami, megafonami, bębnami i szalikami jeżdżą po stadionach i dopingują swoją drużynę. Nie chuligania. Współczesnych kibiców opisuje **Michał Nicpoń**

Kibica portret własny

Klub Kibica Lubuszanina Trzcianka poszukuje młodych gardła do pomocy przy dopingowaniu i organizacji opraw na meczach. Bądź dwunastym zawodnikiem LUBU! Zgłoś się". To treść stałego ogłoszenia na oficjalnej stronie internetowej czwartoligowego Lubuszanina Trzcianka. Rekrutacja otwarta siedem dni w tygodniu. 24 godziny na dobę. Bo wszystkim dobrze wiadomo, że im kibiców więcej, tym lepiej. A dziś zaczyna się powoli okazywać, że dobrych kibiców trzeba sobie wychować. Stąd tak ważne, by gardła były młode, choć nie to jest najważniejsze. Dziś kibicami są studenci, prawnicy, lekarze i właściciele firm. – Nie chcemy, by ludzie, spotykając na drodze kibiców, reagowali alergicznie i ze strachem w oczach oraz niepewnością przechodzili obok, zapatrzeni w ziemię – twierdzi Marcin Słowiński, kibic, mąż i ojciec z Trzcianki. – Chcemy zatrzeć stereotyp „kibola” i zrobimy to.

Sercem za Lubu!

Trzcianka, w której w minioną sobotę i niedzielę odbywał się piłkarski turniej kibiców, dzieli się na fanów Lecha Poznań i Widzewa Łódź. To zdanie każdego jej mieszkańca, który choć trochę interesuje się piłką nożną i choć raz widział mecz na żywo, na stadionie. Jest też kilka szalików Legii Warszawa, ale to margines. Oficjalnej zgody pomiędzy kibicami Poznania i Łodzi nie ma, ale nie ma też między nimi większych zgrzytów. Zgrzyty są gdzie indziej, a wywołuje je zawsze to samo pytanie: czym jesteś kibicem? Bo wszyscy trzcianecy kibice, bez względu na to, jaki szalik zabierają na pierwszoligowe mecze, kochają swojego Lubuszanina z czwartej ligi.

– Za Lubu bardziej jestem sercem, to taki lokalny patriotyzm, poza tym grają tam moi przyjaciele – mówi 26-letni Adam Prankiewicz, kibic Lubuszanina Trzcianka i Lecha Poznań. – Lubuszaninowi kibicują wszyscy. I widziewiaci, i lechici jeżdżą razem na mecze Lubu; nieraz nawet się zdarza, że pojedzie jakiś legionista i też nic do niego nie mamy.

Dla Adama większym problemem niż różnice na tle barw klubowych, jest zakaz używania pirotechniki na stadionach. – To chore! Nie będzie flar, nie będzie efektów. Same flagi nie robią już takiego wrażenia. Pirotechnika to była główna atrakcja, teraz zabawa nie będzie już tak dobra – oburza się i dodaje, że w kibicowaniu o dobrą zabawę chodzi właśnie najbardziej, a nie ustawki w lesie i kopanie się po głowach.

– Choć z drugiej strony lepiej tak, niż robić burdę na stadionie – zapiera się.

Kibice mają serce

Basia Franek kibicem od zawsze nie jest, ale piłkę nożną kocha od niepamiętnych czasów, oczywiście jeżeli tylko są takie w jej 21-letnim życiu i sama nie wie, skąd się jej ta pasja wzięła. Wie za to na pewno, że jest kibicem Olympique Lyon – przede wszystkim. – Nie mam antypatii



Współcześni kibice nie szukają zadym na stadionach. Stawiają na dobrą zabawę i chcą zatrzeć stereotyp „kibola”

do innych zespołów, nie mam w sobie nienawiści – twierdzi.

Jej fascynacje polskimi drużynami są zależne bardziej od tego, kto im kibicuje, niż gdzie lub jak zespół gra.

– Dla mnie liczą się przede wszystkim kontakty i ludzie – dodaje.

Nic w tym jednak dziwnego, bo jest nie tylko kibicem, ale i działaczką. Pracuje w piłkarskim radiu internetowym, jest sekretarzem czwartoligowego Sokoła Pniewy. To właśnie na meczach miejscowych pojawia się najczęściej. W czerwcu 2007 roku zadebiutowała jako organizator imprezy sportowej, przygotowując turniej kibiców w Pniewach. Potem była współorganizatorem I Ogólnopolskiego Turnieju Kibiców w Trzciance. Turniej się udał, przyjechały drużyny z całej Polski, a ona była kapitanem kibicowskiej drużyny swojego Sokoła.

Imprezą w Trzciance Basia chciała pokazać, że kibice mają serce, że potrafią się razem bawić, bez względu na klubowe barwy i potrafią zrobić wspólnie coś pożytecznego. Pożyteczna była na pewno pomoc dla siedmioletniej Julki Panczyszyn, której poświęcony został dochód z turnieju i aukcji internetowej, która trwała równocześnie z nim. Pieniądze są dla Julki potrzebne, bo urodziła się z porażeniem mózgowym, nie może chodzić o własnych siłach i wymaga ciągłej rehabilitacji. Turniej jednak dała radę otworzyć,

Dziś kibicami są prawnicy, właściciele firm, studenci i lekarze

a w dodatku strzeliła gola z podania burmistrza. – Jej tata całe życie związany jest z piłką nożną, a brat gra w Lubuszaninie. Nie było lepszego „pretekstu”, pod którym można by turniej kibiców zorganizować. Nikogo nie trzeba było namawiać, by włożył trochę pracy i pieniędzy w przygotowanie imprezy. Tacy są kibice! I takich chcemy Polsce pokazywać – mówi Basia Franek.

Studia i fanklub

Barbara Kwak ma 21 lat. Jest na trzecim roku prawa i nie wyobraża sobie życia bez meczów Liverpoolu. Miłością do Anglików zapalała prawie siedem lat temu, prawie równocześnie z tym, jak w ogóle zainteresowała ją sport. Trafiła akurat na taki okres, gdy Liverpool zdobył pięć pucharów i wszędzie go było pełno. Trudno, by wybrała wtedy inny klub.

– Zaczęłam poznawać jego historię i stał się dla mnie bardzo ważną częścią życia – opowiada studentka.

Basia działa ponadlokalnie. Jest prezesem Polskiego Fanklubu Liverpool FC. Przez kilka lat działała nieformalnie. Rok temu postanowiła to jednak zmienić. Teraz fanklub jest stowarzyszeniem z osobowością prawną i kontem w banku, ma 40 członków porozrzucanych po całej Polsce i jest ciągle otwarte na nowych.

– Od kilku lat organizujemy złoty kibiców, tyle że wcześniej to była całkiem prywatna inicjatywa. Na zlocie bywa zwykle około pięćdziesięciu osób. Od kilkumiesięcznych dzieci po pięćdziesięciolatek. Najwięcej jest nas na Śląsku i to właśnie tam najczęściej odbywają się zloty. Bywa jednak i tak, że spotykamy się w Szczecinie, Warszawie czy Poznaniu. Czasem równocześnie w kilku miejscach, by razem obejrzeć mecz. Bo razem łatwiej ponosi się porażki, a zwycięstwo bardziej cieszy, gdy smakuje się go wspólnie – twierdzi.

W rozkładzie obowiązkowych meczów, jakie członkowie fanklubu śledzą przed telewizorem, są wszystkie finały rozgrywek z udziałem Liverpoolu, derby, spotkania z Manchesterem, Chelsea czy Arsenalem. Nie udało się do tej pory zorganizować klubowego wyjazdu na mecz do Anglii. Inicjatywa i chęci oczywiście są, znalazłyby się również pieniądze. Problemem okazuje się dostępność biletów na mecze ligi angielskiej, które na Wyspach rozchodzą się w mgnieniu oka.

Co ciekawe, kibice z klubu chcą spotykać się nie tylko na meczach, ale również poza nimi. Ostatnio zorganizowali sobie chociażby wspólne święta Bożego Narodzenia. Trudno powiedzieć, czy wtedy więcej przyjemności było z organizowaniem na przykład noclegów dla ludzi, którzy zjechali się z różnych stron Polski, czy ze wspólnego oglądania meczów, zresztą nie tylko tych z udziałem Anglików.

– To taka niepisana reguła, że większość członków naszego klubu prócz Liverpoolu kibicuje swoim miejscowym drużynom. Kiedy jednak spotykamy się razem, to tylko i wyłącznie dla Liverpoolu – zapewnia jednak Basia Kwak.

Z domu na stadion

Grupy kibicowskie się formalizują. Spontanicznie jest tylko na meczu, a wszystko, co poza nim, wymaga sporego wkładu organizatorskiego. Bo skąd wziąć chociażby megafon, przez który można wykrzyknąć głośniej od wszystkich: Lubuszanin! Lubuszanin! Trzcianka! Necz! Ka!?

Marcina Słowińskiego (lat 27) z megafonem zobaczyć można praktycznie na każdym meczu Lubuszanina Trzcianka. Nie ważne, czy na miejscowym stadionie, czy na wyjeździe. Sam przyznaje, że gdy gra Lubu, to nic go w domu nie zatrzyma. Nic i nikt; ani żona, ani córka.

– To przechodzi z pokolenia na pokolenie. Jeździmy na Kolejorza

i dopingujemy. Najczęściej jednym, a na ważniejsze mecze dwoma autokarami. Wtedy jedzie nas nawet 130 osób – podkreśla z nieukrywaną dumą.

Od ubiegłego roku Marcin pilotuje grupę młodych kibiców Lubuszanina. Klub kibica ma budżet, konto w banku, wpływy z karnetów na mecze Lubu oraz składek. Są z klubem dogadani, co bardzo go cieszy, bo początki były bardzo trudne. Pieniądze są potrzebne nie tylko na dojazd na mecze na obcych boiskach, ale również na wszystkie akcesoria, bez których „statutowe” działania klubu kibica nie byłyby tak widowiskowe. – Mamy flagi, bęben, megafon, szaliki i inne klubowe gadzety. Jesteśmy najlepiej zorganizowaną grupą kibicowską w regionie – przekonuje.

Cały jego wysiłek służył ma jednak nie tylko przekonywaniu o tym, że kibice Lubu są najlepsi.

– Znaczenie słowa kibic ewoluuje i jest inne niż to piętnaście lat temu. Teraz kibic jeździ na mecze i dopinguje swoją drużynę. Nie szuka zadym na stadionach. Kibicami są studenci, lekarze, prawnicy; normalni ludzie, którzy nie chcą zabijać się na stadionach. Chcemy zmieniać ten zły wizerunek, tak żeby ludzie nie reagowali alergicznie, na słowo kibic, uciekając przed nim, gdy spotykają go na swojej drodze – zapewnia Słowiński.

Marcin urodził się i mieszka w Trzciance, dlatego tak jak wszyscy kibice, ma serce rozdarte pomiędzy Lubuszanina a Lecha Poznań.

W jego życiu nie ma daty, od której mógłby liczyć czas, swojego drugiego życia – kibica. To przyszło samo z siebie. Dobrze wie za to, że co kocha Lubuszanina; bo najpierw mu kibicował, później w nim grał, a gdy przestał, to znowu kibicuje.

– Przez tyle lat może wytworzył się szczególna więź z klubem – przekonuje. ●